

„ZIELENI SIĘ ZBOŻE”

Sztuka Emlyna Williamsa w Teatrze Powszechnym

Po pierwsze należy stwierdzić: sztuka jest zupełnie dobrze napisana. Po drugie należy stwierdzić: wykonawcy tej sztuki zagrali ją pierwszorzędnie, a już wyjątkowo korzystnie przedstawia się w tym spektaklu rola głównej postaci tej sztuki, starej i brzydkiej „emancypantki” miss Moffat w bezbłędnym wprost wykonaniu Ireny Ładosiówny. Po trzecie należy stwierdzić: nowy dyrektor dwóch miejskich teatrów dramatycznych (Powszechnego i Małego), Józef Maśliński zapowiada się na podstawie ostatnich premier w tych teatrach jako bardzo dobry i energiczny dyrektor.

Czy poza tym, że „Zieleni się zboże” jest zupełnie dobrze napisaną i zupełnie dobrze zagrana sztuką, ma ona jeszcze jakieś inne, głębsze, ideowe walory?

Wcale już nie pierwszej młodości i do tego brzydka jak noc, zresztą prawdopodobnie zawiediona jak tysiące innych takich brzydkich panien w miłości, miss Moffat wraca po ukończonych studiach w Oxfordzie na głuchą wieś wallijską, ludność której stanowią prawie wyłącznie robotnicy, leżących w pobliżu kopalń węgla. Miss Moffat jest jedną z pierwszych w Anglii kobiet (rzecz dzieje się przed laty pięćdziesięciu!), posiadających dyplom doktora filozofii, szans na wyjście zamek i na zajęcie się domem zdaje się nie ma (sama opowiada, że zorientowała się czego oczę-

kiwać od życia, od razu wtedy, gdy matka pierwszy raz wyprowadziła ją na „jarmark” małżeński i kiedy znajdujący się obok niej sam na sam młody człowiek szepnął do niej zmieszany, że pragnąłby mieć taką siostrę, jak ona), w braku więc innej możliwości wywyżczenia się postanawia założyć szkołę dla dzieci górników.

Czasy, naturalnie, nie są takie, żeby nawet taki niewinny pomysł jak szkołka dla dzieci można było łatwo zrealizować. Dzieci zresztą od dwunastu lat muszą zacząć pracę w kopalni; za parę dosłownie groszy. Po co robotnikowi jest umiejętność czytania — słusznie rozumują ze swojego punktu widzenia właściciele kopalń, dzierżawcy szynków, a nawet poniektórzy pastory. Trudności, oczywiście, mnożą się, opinia jest przeciwna, dziedzic, który jest równocześnie właścicielem jednej z kopalń, przychodzi z awanturami, sąsiad, do którego należy szopa, upatrzona na salę szkolną, pod wpływem przeciwników jeszcze nie istniejącej szkoły wycofuje poprzednią swą zgodę na jej wydzierżawienie. Miss Moffat jest bliska rozpaczy i właściwie decyduje się na zaniechanie dalszej walki o swoją szkołę. Tylko przypadek sprawia, że ta kapitulacja nie jest całkowita i że mimo wszystko nasza „rewolucjonistka” zakłada wprawdzie nie dla znaczniejszej ilości, ale tylko dla kilkorga dzieci i bynajmniej nie szkołę,

ale coś w rodzaju prywatnych lekcji — we własnym mieszkaniu. Tych kilkoro dzieci przy tym też właściwie są tylko jakby dekoracją i właściwie równie dobrze mogło by ich tu nie być wcale, bo celem specjalnych wysiłków pedagogicznych panny Moffat od samego początku tych lekcji jest rzeczywiście wyjątkowo zdolny chłopiec z kopalni.

Temu właśnie chłopakowi miss Moffat poświęca pełne dwa lata swojego, zapewne dość niedługiego już życia, tego chłopaka w ciągu tych dwóch lat dźwiga na równy swojemu poziomowi umysłowy, przygotowując go do konkursowego egzaminu na uniwersytet, ochrania go przed zaborczością i natarczywością młodzieńczej, ale z gruntu złej i zepsutej dziewczuchy, której w jakimś tam momencie udało się go kiedyś uwieść (tak jest!).

Czy taka sztuka, choćby nawet i najlepiej była napisana, może mieć jakieś specjalne, ideowe wartości? Nie jest ona na pewno reakcyjna i na pewno nie służy brudnym interesom kapitalistów i właścicieli kopalń. Ale czy postać, czy walka, czy kształtowanie twardego charakteru, czy coś wspólnego z sentymentalizmem, czy miłość, czy choćby nawet z najlepszymi

Bohaterką sztuki jest miss Moffat, urodzony zdolny chłopak z kopalni jej brat, który jej rękę; miss Moffat nie jest wcale typem społecznie ujemnym, ale nie jest ona żadną działaczką, nie jest to także żadna rewolucjonistka.

Sztuka Williamsa, poważna, ciekawie zakomponowana, bardzo sprawnie napisana, satyrująca

widza coraz to nowymi, efektownymi niespodziankami, jest więc wyłącznie przyczynkiem do historii stosunków społecznych w Walii na przełomie ubiegłego i obecnego stulecia. Zboże rzeczywiście zieleńło się i wtedy na dolinach wallijskich, ale mają zupełnie rację ci, którzy nie widzą jeszcze w sztuce Williamsa, żeby zieleńło się ono już dla wyzyskiwanych przez właścicieli robotników kopalnianych, czy też dla ich dzieci, od dwunastego roku życia zmuszanych do pracy w kopalniach.

Poza Ireną Ładosiówną, która była bardzo dobra i wtedy, kiedy była srogą „reformatorką” stosunków społecznych i wtedy, kiedy była tylko słabą i nieszczęśliwą kobietą, wysunęli się jeszcze na czoło tego przedstawienia: Bolesław Kostrzyński jako młody, genialny chłopak z kopalni (Morgan Evans), Ewa Karska jako niezdolna i antypatyczna intrygantka Bessy, Stefania Kornacka jako kapitalny typ zaufanej służącej i Tadeusz Kubalski jako należycie gruboskórny i pajacowaty dziedzic. Prócz tego dobrą sylwetkę niedokształconej panny z dobrego domu (miss Ronberry), nie wiedzącej, jak to może być, że siedem razy osiem jest pięćdziesiąt sześć i osiem razy siedem jest pięćdziesiąt sześć, stworzyła Alina Rostkowska i równie sugestywną sylwetkę małomiasteczkowego nabożnisia (mister Jones) stworzył Stanisław Libner.

Za staranną reżyserię i pomysłowe dekoracje należy się uznanie p. Cz. Sypkowi. Jan Szczawieł

GAZETA LUDOWA

sobota 22 stycznia 1949 r. • Nr 18